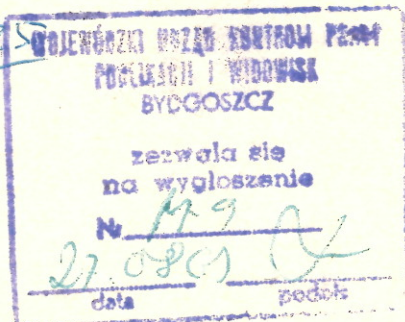


Redakcja Literacka

1.9.69

godz: 16<sup>10</sup> 16<sup>15</sup>



Rozgłośnia Bydgoska

Audycja na dzień: \_\_\_\_\_

Godzina: \_\_\_\_\_

Rodzaj aud.: fragm. powieści

Źródło: druk

Autor: Wiesław Rogowski

Redaktor w rozgłośni:

Regina Adamczak

Redaktor w centrali:

Irmina Brudnicka

**KAMIENNY BRUK**

W niedzielę wczesnym rankiem przez Bydgoszcz zaczęły przejeżdżać wojskowe tabory konne. Wyglądało to na jakies przegrupowanie w związku z ruchem frontu, ale kierunek, w którym podążały zielone wozy, wiódł na Toruń, na Inowrocław. To była ta sama droga, jaką wczoraj jeszcze ciągnęły tłumy uchodźców.

Turkot żelaznych obręczy, stuk zmęczonych kopyt, zakurzone mundury żołnierzy, którzy bez uśmiechu spoglądali prosto przed siebie, jakby chcieli ominąć oczy cywilów, to wszystko nabierało specjalnego znaczenia. Jeszcze nikt nie wypowiedział tego słowa, jeszcze każdy starał się opanować ale to było daremne. Wiedziano już. Rozpoczął się odwrót.

Wiadomość rozchodziła się coraz szerzej. Dzieci i kobiety, mężczyźni w odświętnych ubraniach zatrzymywali się w drodze do

kościół i patrzyli w milczeniu na odjeżdżające wojska. Tu i tam, w przerwie pomiędzy sznurem wozów maszerowały przemęczone oddziały. Nie było ich zbyt wiele, lecz to wystarczyło, aby nikt już nie miał żadnych wątpliwości.

Do Komendy Miasta zaczęli przybiegać ludzie. Niektórzy usprawiedliwiali swą prośbę o przepustkę na wyjazd kolejną nagłymi sprawami, jakie musieli koniecznie załatwić w centrum Polski. Wielu jednak nie umiało kłamać, ich strach widać było w rozbieganych oczach, w drżeniu rąk, trzymających dokumenty; wyciągali dżonie gestem, który miał przekonywać, lecz oznaczał właściwie rozpacz i zwątpienie.

Major Albert przeglądał pobieżnie papiery. Nie każdą prośbę mógł załatwić. Wiedział, że pociągi są przepełnione, a nadchodzące godziny mogły przynieść wiele jeszcze zmian, które unieważniłyby nawet te papierki, jakie z czystym sercem podpisywał. Front nadchodził, wojsko musiało mieć wolny tor.

Od czasu do czasu stawał przed majorem wyprężony na baczność cywil i meldował, że taki to a taki oficer rezerwy, takiego a takiego pułku prosi o odesłanie do macierzystego oddziału.

Nie mógł ich odesłać, nie znał dyslokacji wojsk, nie umiał wytłumaczyć, dlaczego nie zostali zmobilizowani, nie miał dla nich żadnego zajęcia.

- Panie majorze - mówił porucznik Szabelski - ja chcę walczyć.

- Na razie nic na to nie poradzę. Proszę czekać w domu na dyspozycje władz wojskowych.

- Niechże mi pan major po ludzku poradzi, co mam robić - Szabelski zdjął okulary i zaczął wycierać je chusteczką - ojczyzna w potrzebie, przecież widzimy wszyscy, co się dzieje, panie majorze!

Albert wstał.

- Znamy się, panie Szabelski. Czy nie tak? - czekał na odpowiedź.

- Oczywiście, panie majorze.

- Czy mogę coś powiedzieć po starej znajomości?

- Słucham.

- Dlaczego oczekuje pan ode mnie rzeczy niemożliwych?

- Nie rozumiem?

- Nie jestem w stanie nic uczynić dla pana. W ogóle nie mogę nic zrobić. Wiem tyle, co i pan, czy pan rozumie?

- Nie mogę w to uwierzyć - porucznik Szabelski ciągle jeszcze trzymał swoje okulary w ręku. - Co to właściwie znaczy?

- Nie mam czasu dłużej z panem rozmawiać - major Albert pożałował swej szczerości. - Ale jak tylko będę potrzebował czyjejs pomocy, zwrócę się do pana. Zgoda?

- Bardzo na to liczę - Szabelski uściskał dłoń majora.

W końcu wszystko się jeszcze wyjaśni, przecież to dopiero trzeci dzień wojny. To się musi wyjaśnić, prawda?

- Na pewno - major siadł za biurkiem, rozsunał papiery, udając że szuka wśród nich jakiejś sprawy. - Wszystko będzie jasne za kilka dni.

- Liczę na pana, panie majorze - Szabelski stuknął obcasami.

Sierżant Orłowski zameldował się natychmiast po Szabelskim, zatrzymując za progiem następnych interesantów.

- O co chodzi? - major Albert był zdziwiony. Orłowski miał wyjechać samochodem do Myślecinka na kontrolę posterunku. Nie powinien był wrócić tak wcześnie.

- Nasi wycofują się, panie majorze.

- To tylko tabory.

- Nie wykonałem zadania, melduję posłusznie.

- Dlaczego?

- Nie ma benzyny.

- Jak to? - major wstał. - Co wy mi tu pieprzycie, Orłowski?

- Wyciekła z baku.

- Co?

- No wyciekła, cholera jasna. A więcej nie ma, bańki puste.

- Sama wyciekła? A rozum wam nie wyciekł? Co to za porządki?

- Melduję, że to nie moja wina, to jakiś stary grat, miał dziurę czy co, a bańki puste, bo nam intendentura nie dostarczyła paliwa. Samochód przytaskali, a benzyny nie ma.

Major nie słuchał Orłowskiego. Zza okna dochodzić go zaczął oddalony szum silnika, który zbliżał się, stawał się wyraźniejszy. Nad miastem leciał samolot. Musiał być niewysoko, bo ten szum przemienił się w gwałtowny warkot i znowu odbiegł w dal, tak jakby maszyna leciała tuż nad domami.

- Co za cholera? - zdziwił się Albert.

- To nie nasz - powiedział sierżant.

Czekali w napięciu, kiedy zaczną wybuchać bomby. Warkot znowu narósł i znowu ścichł.

Lotnik zatoczył dwa kręgi nad Bydgoszczą i odleciał. To było niezrozumiałe. Czekali jeszcze chwilę. Nic więcej już się nie wydarzyło.

- Meldujcie i rozkazał major.

- Kiedy już skończyłem, panie majorze - zdziwił się Orłowski.

- No to zróbcie, co chcecie, ale na Myślęcinku macie być natychmiast.

- Tak jest, panie majorze!

- Albo nie, wyślijcie żołnierza, będziecie mi potrzebni.

- Tak jest!

- Odmaszerować!

Major spojrział na zegarek, była dziesiąta dwadzieścian .

- Sierżancie, o wpół do jedenastej zameldujecie, czy rozkaz wykonany.

- Tak jest!

- I moglibyście mi skombinować trochę herbaty, co Orłowski?

Nie jeszcze, psiaakrew, nie jadłem.

i Zrobi się, panie majorze.

Starszy sierżant Orłowski nie zdążył jeszcze otworzyć drzwi, gdy szyby zaterkotały, jakby jakiś dzieciak rzucił w nie garścią żwiru. Major poderwał się zza biurka. Podbiegł do okna, rozwarł je na oścież.

- 7 -

Z ulicy dobiegła go nowa seria. Strzały rozlegały się z wielu stron, gdzieś z pobliza, z oddali, były nieregularnie, pojedynczo, to znów długimi seriami, cichszymi, z broni, jakiej nie znał, i głośniejszymi, z ckaemu. Nie chciał wierzyć, lecz uszy sygnalizowały mu, że to nie omyłka, że ktoś strzela w kilku punktach miasta; czyniło to wrażenie, jakby Niemcy wkraczali już do Bydgoszczy.

Major Albert nie mógł pozbierać myśli, wszystko zdawało się niepojęte. Orłowski stał przy nim i choć pobladł znowu, na jego twarzy malowała się zacięta determinacja.

- Biją, <sup>dramie</sup> ~~skurwysyny~~, ze wszystkich stron - wyszeptał na wpół do siebie.

Albert tego nie słyszał. W momentach, kiedy wystrzały zdawały się milknąć, z głębi miasta biegł żelazny jazgot, rozlegający się wśród domów.

- Rany boskie... - szepnął sierżant. Major Albert spojrzał na niego i dostrzegł, że ten szybko oddycha otwartymi ustami.

- Bez paniki - powiedział. - Co to może być? Czołgi?

- To chyba czołgi - Orłowski wyprostował się. - Co pan major rozkaże?

21

- Ciszzej, człowieku! - przerwał mu Albert. Znowu zaterkotała seria. Na biurku zadzwonił telefon.

- Każcie wszystkim cywilom opuścić Komendę - rzucił sierżantowi i chwycił za słuchawkę.

- Tu Przyjałkowski - usłyszał głos generała. - Major Albert?

- Major Albert melduje się przy aparacie.

- Co tam się dzieje? Co to za strzelanina?

- Panie generale, zbadam sprawę i złożę meldunek.

- Czekam na to.

- Rozkaz!

Odłożył słuchawkę i stał chwilę, zamyślony. Jak to możliwe, że posterunek z Myślęcinka nie zameldował o nadejściu czołgów nieprzyjaciela? Czyżby chłopcy zginęli?

- Co robimy, panie majorze? - zapytał sierżant.

- Bierzcie dwóch ludzi z posterunku i czekajcie na mnie przed Komendą.

- Rozkaz.

- Jeśli to czołgi - myślał - to znaczy, że już koniec. Co można zrobić, jeśli to są czołgi? Granaty? Kule karabinu? Nonsens. Nie powinienem opuszczać Komendy. Jestem dowódcą tej placówki,



Orłowski może sam przeprowadzić rozpoznanie. On jest sprytny.

Major Albert schodził powoli z pierwszego piętra. Na parterze poprawił pistolet u pasa. Szedł ku wyjściu na ulicę coraz wolniej.

- Czekam na rozkazy - zameldował sierżant Orłowski.

- Idziemy - rozkazał major. Jeszcze raz poprawił pas i ruszył nie oglądając się na patrol. W słońcu wszystko wydało mu się proste i oczywiste, i to, że biegnie na przedzie, a za sobą słyszy tupot żołnierskich butów, i to, że za chwilę zobaczy stalowy kadłub na gasienicach, choćby się ziemia miała walić.

- Panie majorze, panie majorze! - głos Orłowskiego był pełen ulgi. - Czy pan major widzi?

Zatrzymali się. Stąd widać już było wyraźnie pędzące bez opamiętania wojskowe wozy, ciągnęły je konie, spłoszone krzykiem rozbiegających się ludzi. Tłukące o bruk kopyta, podskakujące na kocich łbach żelazne obręcze zdawały się do złudzenia imitować bieg stalowych gasienic; nie było słychać jedynie warkotu motorów, i major Albert zrozumiał, dlaczego ów dochodzący go przez okno jazgot wydał mu się wówczas dziwny.

Tabory mijały w pędzie przewrócone na jezdni wozy i skręcając gwałtownie w Jagiellońską, nikły w oddali, na moście Bernardyńskim. Major dobiegł do narożnika.

Na Gdańskiej tuż obok kościoła Klarysek leżały dwa wozy wojskowe; wzrok majora przykuł bułany koń, usiłujący podnieść się na nogi. Za każdym razem, gdy zdawało się, że już zdoła to uczynić opadał nagle na bruk, tłukąc łbem o kamienie; jego ruchy stawały się coraz wolniejsze, tylko rozkrwawiony pysk walił o jezdnię miarowo i z wielką siłą. To było niezrozumiałe, to było okrutne. Dopiero po chwili major dostrzegł, że z brzucha zwierzęcia wypływały fioletowe pasma.

- Panie majorze... - szeptał Orłowski - panie majorze, panie majorze...

Albert spojrział. Za wozami, które przestaniały sobą przeciwny chodnik, na płytach okalających kościół leżały trupy. Czterech mężczyzn i dziewczynka. Może wybiegli przed chwilą z klasztoru, a być może szli właśnie na mszę, gdy dosięgły ich kule. Byli ubrani odświętnie, jeden starszy, o siwych włosach, a dziewczynka, ta mała, leżała w ten sposób, że widać było tylko szeroko rozrzucone ręce i skulone kolana, jakby upadła właśnie na twarz, tak jakoś nieszczęśliwie, wykręcona nienaturalnie, lecz przecież powinna zaraz wstać, to tylko moment oszołomienia, ona podniesie się, ona musi się podnieść.

27

Major patrzył na nią, nie rozumiejąc, co się dzieje dookoła. Orłowski odskoczył pod ścianę, razem z żołnierzami starał się zajmować jak najmniej miejsca; teraz zarepetowali broń, zaczęli strzelać, do kogo oni strzelają, Panu Bogu w okno? Co to ma znaczyć? Marnują amunicję, psiakrew!

- Panie majorze! - ktoś szarpnął go za rękaw.

-- Czego? - warknął. Dwaj chłopcy w gimnazjalnych mundurkach usiłowali go wciągnąć do bramy.

- Panie majorze, niech się pan schowa!

- Niech pan idzie, przecież tam strzelają!

Major Albert spojrzał w górę. Z okien narożnego domu, tego co stał naprzeciw teatru, z ostatniego piętra a może z poddasza padały pojedyncze, nerwowe strzały. Z muru, obok tych okien odpryskiwały kawałki tynku, więc jak to jest, strzelają stamtąd, czy ktoś strzela do tych okien?

Obejrzał się. Żołnierze z jego patrolu walili pośpiesznie w tamtą stronę. Obok nich także wytryskiwały dymiące strzępki tynku; z góry strzelano do nich. Walczymy z Niemcami. W Bydgoszczy. Czy to możliwe?

Dał się porwać dżoniom tamtych dwóch chłopaków. Strzały nagle ucichły. Jeszcze raz i drugi trzasnął karabin jego żołnierzy, ale stamtąd odpowiedzi nie było.

- Uciekł, psiakrew, zwiął! - jęczał sierżant Orłowski i nie zważając na regulamin, potrząsnął dżonią majora. - Możemy tam podskoczyć? Panie majorze, przeczeszemy tę budę?

- Bierzcie ludzi!

Pobiegli, pochyleni, przez jezdnię, wpadli na korytarz. Major pożałował, że zgodził się na to. Przecież tam może być kilku, z góry łatwo zatrzymają atakujących.

Obawy okazały się jednak płonne. Orłowski wrócił po kilku minutach. Zameldował, że nikogo nie znaleziono. Na strychu leżały jedynie łuski od mausera. Trzymał na wyciągniętej dłoni kilka błyszczących, mosiężnych przedmiotów, które już teraz były niegroźne, takimi łuskami bawią się przecież chłopcy.

- Do Komendy! - rozkazał major i poszedł pierwszy. Nie oglądał się.

- Proszę o rozmowę z generałem - zawołał w słuchawkę. Czekał chwilę, zanim telefonista połączył go z Przyjałkowskim.

- Słucham?

- Melduje major Albert.

- No i co to jest?

- Dywersja, panie generale. Niemcy są w Bydgoszczy.

- Więc jednak.

- Według mego rozeznania strzelają w kilku punktach miasta.

Są zabici, sam widziałem. Koło Klarysek.

- Nasi?

- Cywile. Proszę o rozkaz zwalczania dywersji. Proszę o pozostawienie do mojej dyspozycji baonu marszowego 62 pułku.

- Zgoda. Przed chwilą rozkazem mu stawić się u pana, jeszcze zanim pan to powiedział.

- Dziękuję, panie generale. Razem z kompanią rezerwową baonu wartowniczego, policją i żandarmerią z dam sobie radę.

- Rozkazuję więc panu zlikwidować wroga.

- Tak jest, panie generale!

- Niech pan postępuje zależnie od sytuacji, tak jak będzie tego wymagało pańskie zadanie!

- Tak jest, panie generale! Rozkaz zostanie wykonany!

W chwilę potem zgłosił się telefonicznie major Sławiński, dowódca baonu wartowniczego.